Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Na straży. Fot. A. Wiśniewski, Chorvń.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

Nr. 12 (667) 17 MARCA 1932 R.

O DOKŁADNY ADRES.

Sz. P. Prenumeratorów prosimy o dokładne podawanie nam adresów. Adres ma zawierać: imię, nazwisko, miejscowość, pocztę i województwo (powiat zbyteczny).

Prenumeratę wysyłać najlepiej na konto czekowe w P. K. O. Nr. 80-82.



Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOW. ŁOWIECKICH.

ZAWIADOMIENIE.

Zarząd Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, na mocy uchwały swej z dnia 8 marca 1932 r. i zgodnie z § 21 statutu, zawiadamia niniejszem Stowarzyszenia Związkowe, że dnia 17 kwietnia 1932 roku, o godzinie 10-ej, w siedzibie Związku (Warszawa, Nowy Świat 35, lokal Polskiego Towarzystwa Łowieckiego), odbędzie się Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie Stowarzyszeń Związkowych.

Ponieważ oddzielne zwoływanie przewidzianego statutem Zwyczajnego Walnego Zgromadzenia (sprawozdawczego) byłoby w roku bieżącym narażeniem Stowarzyszeń Związkowych na dodatkowe koszty delegowania ich przedstawicieli do Warszawy, co w obecnej sytuacji gospodarczej byłoby ciężarem nadmiernym, Zarząd Związku uchwalił zamieścić na porządku dziennym Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia sprawy, których rozpatrzenie jest statutowym obowiązkiem Zwyczajnego Walnego Zgromadzenia.

Porządek obrad Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia jest następujący:

1. Otwarcie Zgromadzenia.
2. Wybór Prezydjum.
3. Zatwierdzenie porządku obrad.
4. Rozpatrzenie konfliktu między Prezesem i Zarządem Związku (§ 19 statutu pkt. e).
5. Odczytanie i zatwierdzenie protokułu Zwyczajnego Walnego Zgromadzenia z dn. 10-go maja 1931 roku.
6. Rozpatrzenie i zatwierdzenie sprawozdania z działalności Związku, bilansu i rachunku strat i zysków za rok 1931, sprawozdania Komisji Rewizyjnej, oraz preliminarza budżetowego na rok 1932.
7. Wybory: a) Prezesa, Wiceprezesów i Członków Zarządu: b) Komisji Rewizyjnej.
8. Wykreślenie Stowarzyszeń, zalegających w opłatach na rzecz Związku.
9. Wnioski.

Zarząd Związku komunikuje jednocześnie, że, stosownie do § 20 statutu, na Walnem Zgromadzeniu mogą być dyskutowane i poddawane pod głosowanie te tylko wnioski, które zostaną zgłoszone Zarządowi Związku na 7 dni przed terminem Zgromadzenia.

Zgodnie z brzmieniem § 8 statutu, Stowarzyszenia Związkowe korzystają na Walnem Zgromadzeniu z jednego głosu na każdych dwudziestu członków, przyczem rozpoczęta dwudziestka liczy się za pełną i daje prawo jednego głosu.

ZARZĄD POLSKIEGO ZWIĄZKU
STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

Z KNIEI.

Dni wloką się jak ślimaki. Od kilku tygodni szarugi i mgły trwają zda się bez końca. Brudne i lepkie światło dnia zdaje się zasypiać, a ludzie i zwierzęta, powoli ciągnąc za sobą znużone nogi, chlupią niemi w rozdeptanem, miejscami rzadkiem błocie. Szaro, mokro i smutno, a smutno tembardziej, że zima schodzi bez śniegu, smutno — bo rozmokła knieja zamknęła się w sobie, wzbraniając umiłowanych godów zimowych. Spowita w mgły i szarugi śpi kochanka-knieja, miast oblec się w niepokalanej bieli welon i nęcić, wabić, czarować... Aż w pierwszych dniach lutego rozwiały się gdzieś mgły, obeschło błoto, a tężejącą od mrozów ziemię litościwie zaczął okrywać bielutki puch. Ponowa! radośnie witają każdy spadający płatek szeroko rozwarte źrenice. Ponowa! uchylone w uśmiechu powtarzają usta. Ponowa! jeszcze raz odbiło się echem w stęsknionem sercu, co żywiej bić zaczęło...

Od kilku tygodni odkładane polowanie „na coś grubszego", wobec upragnionej ponowy, zarząd Koła Miłośników Łowiectwa wyznacza w najbliższym terminie, t. j. na 7 i 8-go lutego. W mieszkaniu prezesa Koła, pana Józefa Skrzypka, telefon dostaje kompletnie chrypki, zawiadamiając licznych członków Koła, udzielając rad, wskazówek, lub wydając ostatnie polecenia, by w sobotę o 4-ej popołudniu wyruszyć z dworca Wschodniego.

Do ostatniego w pociągu wagonu, zarezerwowanego wyłącznie dla nas, z różnych stron wielkiego miasta ściągają rozradowane twarze, następują wesołe powitania, a wywołany dobrym nastrojem kilkunastu myśliwych ruch i gwar stopniowo cichnie, każdy lokuje się tam, gdzie mu wygodniej. Aż wreszcie wagon ruszył. Zebrała się kompanja, jak jeden mąż, rzetelnych myśliwych z b. Prezydentem, panem profesorem Stanisławem Wojciechowskim na czele. Towarzystwo sadowi się grupkami wedle upodobania, odpowiednio ustawione walizki świetnie zastępują zielone stoliki, by bridgem, lub preferansem skrócić kilkogodzinną drogę. W Łukowie wagon nasz przeczepiają do innego pociągu, a w godzinę później robimy krótkotrwały zamęt na stacji Parczew. Oczekujące furmanki w niespełna godzinę dowiozły nas do upragnionego celu, rozwożąc myśliwych bądź do domu miejscowego nadleśniczego, p. Natorskiego, bądź do najschludniejszych we wsi chat, przygotowanych na nasz nocleg. Następuje rozpakowanie się, krótka kolacja, ułożenie się do snu, jeszcze kilka anegdotek, trochę śmiechu i wreszcie izba stopniowo cichnie, cichnie, aż wkońcu równe, głębokie oddechy świadczą, że wszyscy śpią już. Śnijcie o kniei, rycerze Św. Huberta, by jutro w niej sięgać po laury.

Godzina szósta rano wszystkich stawia na nogi; myśliwska toaleta, śniadanie a potem już tylko futerały, plecaki, ładownice, aż wreszcie pobudka rozbrzmiewa na drodze. Malutki przymrozek, wokoło bielutko, choć śniegu zbyt mało, by jechać sankami. Ciekawość wszystkich zaspokaja odpowiedź łowczego: „są", „otropione", a rozbłysłe nadzieją oczy, zatrzymują się na pobliskich borach, w stronę których raźno podąża sznur wozów. Wjeżdżamy w las: rozmowy milkną, oczy biegają po fantastycznie ośnieżonych świerkach, jodłach, lub jałowcach. Pomimowoli każdy wyczuwa głębię kniei, pieściwie ogląda rozmaite tropy, wiodące w różnych kierunkach, jak arterje, do serca ostępów. Mijamy rozstawioną nagankę, otropiony miot już blisko i niebawem zatrzymuje się pierwszy wózek, a za nim i wszystkie inne. Ciągniemy numerki, łowczy półgłosem udziela ostatnich wskazówek, wchodzimy na trybę, idziemy gęsiego, szukamy na drzewach numerów swoich stanowisk, łańcuch myśliwych stopniowo zmniejsza się, aż wreszcie ostatnie jego ogniwo ginie gdzieś pod drzewem.

Cisza zupełna i tak wielka, że przyzwyczajone do wielkomiejskiego huku ucho wyczuwa dziwną pustkę, pustkę denerwującą w pierwszej chwili. W krótkim jednak czasie zaczyna spływać do duszy uspokojenie, przechodzące w błogą zadumę, w której całe jestestwo ludzkie zlewa się w niepodzielną całość z otaczającą ciszą przyrody...

Drgnąłem! To pierwsza trąbka mąci spokój. Wraz za nią druga sygnałem wtórzy, a wkrótce i zgiełk dalekich ludzkich krzyków przez trybę naszą przeszedł. Ocknęły się z zadumy oczy, uderzyło żywiej serce. Przedemną rzadki, młody zagajnik, a o parę kroków wprawo, jakby ścianą ciągnie się wgłąb miotu i po linji myśliwych gąszcz zagajników taki, że tylko przy samej ziemi można na kilkanaście raptem kroków coś w mroku gąszczu zobaczyć. Choć miot niewielki, naganka jednak zbliża się bardzo powoli, z trudnością przedzierając się przez sploty gałęzi.

Zadrgało powietrze hukiem strzału od skrzydła. To pan Prezydent Wojciechowski rozpoczął gody łowieckie, celnym strzałem kładąc kres meternichowskim krętactwom rudego mikity.

Naganka zbliża się potrochu, już widzę na lewo w rzadkiej choinie niektórych, za chwilę równa, długa ich linja wyjdzie na trybę. Tylko te gąszcze na prawo łudzą jeszcze swą nieprzeniknioną tajemnicą i nagle coś trzeszczy, łamie się, chrzęści i ze ściany choiny w największym pędzie, jednym skokiem przesadza trybę odyniec tuż przy mnie, zaś bliżej sąsiada trzy spore wycinki z warchlakiem na końcu wpadają w las stary za trybą. Huk strzałów, oddalający się tupot racic i wszystko ucichło. Z nosami na kwintę sprawdzamy tropy i tylko miejscami słaby ślad farby czerwieni biel śnieżną. Ciekawsi schodzą się koło nas; następują pytania, a w odpowiedziach swych winowajcy coś gęsto się tłomaczą. Wyrozumiali krytycy (może w obawie przed podobnemi błędami) łagodzą sytuację, dają niezawodne wskazówki, a łowczy radzi poprawić się w następnych miotach, akcentując swą radę znaczącem chrząknięciem.

Naganka, prowadzona przez dwóch strażników Koła i trzech gajowych nadleśnictwa, znika gdzieś cichutko, wozy przewożą nas dalej i długa linja myśliwych staje wkrótce na nowych stanowiskach. Sygnały zagrały gdzieś w głębi ostępu, miot drugi zaczęty. Tym razem przedemną dość rzadki starodrzew dębowy, więc widząc daleko, — spostrzegam — coś

zbliża się ku mnie. Już widzę dokładnie dzika i serce kołacze zbyt szybko, więc wolą ściągam mu tak wodze, by muszka znalazła komorę spokojnie. Huknęło! Skok straszny, a potem krok wolny i chwiejny i raptem wali się sztuka, by nie powstać więcej. Pogróżka łowczego zrobiła więc swoje, a nawet tak była skuteczna, że i na prawem skrzydle padł drugi dzik. I jeszcze dwa mioty, a potem ognisko, a przy niem zakąska. Już miny weselsze, więc chętnie w półkole stanęli myśliwcy, przed nimi trofea na śniegu: dwa dziki i lisek. Klapnęła migawka i zdjęcie gotowe, a potem znów mioty. Na wozie, wiozącym jedynie zwierzynę, przybyła jeszcze trzecia sztuka, więc powrót wesoły.

Resztę całodziennego nastroju dopełnił wspólny obiad w nadleśnictwie, w gościnnym domu państwa Natorskich, gdzie wielce sympatyczna pani domu nie szczędziła trudów i starań, by nakarmić i napoić dwudziestu nemrodów. W miarę zaspokajania pierwszego głodu rozwiązywały się języki, wzmagał się gwar, głuszony częstemi wybuchami śmiechu, wywołanemi mówkami na cześć pudlarzy dnia dzisiejszego. Preferans i bridge dopełniły wspólnej biesiady, a rozchodząc się na swoje miejsca noclegowe, z przyjemnością witaliśmy gęsto sypiący śnieg.

Nad ranem śnieg przestał padać, a było go tyle, że w stronę lasów, zamiast wozów, ruszył długi wąż sanek. Okapturzona i opatulona iskrzącym się miljardami iskier, białym puchem knieja mówiła do nas świeżemi śladami swych mieszkańców. I znów poszły mioty cicho, tajemniczo, a śpiącego zimowym, jak w bajce snem boru, nie budził bezgłośnie przemykający sznur sani, jak Fałatowski motyw z Nieświeża. Czasami tylko z pod nawisu świerkowych białych czap poleciał w pobliskie krzaki głos naganiacza, chwilami zadrgało powietrze czystym, metalicznym refrenem trąbki gajowego, lub padł krótki strzał sztucera na trybie leśnej, a choć w dniu drugim mniej szczęście sprzyjało myśliwym, to jednak nastrój łowów podnosił czar śnieżnych ostępów.

Skończone już łowy. Śpij kniejo — kochanko, spowita w baśń białą, do przyszłych nam godów...

Wracamy autobusem do Łukowa. Twarze wszystkich poważne, zadumane. Wyczuwa się nastrój żegnania kniei, a ogólne milczenie i zapatrzone gdzieś w dal oczy świadczą, że wrażliwe serca powtórnie przeżywają silniejsze chwile minionych dni. Długotrwałą ciszę przerywa wreszcie czyjś głos na temat spędzonych tu chwil, do którego przyłączają się stopniowo i inne. Pogodę chwali się dopiero wieczorem, więc i krytykę spędzonych przeżyć, wszczęto dopiero w drodze powrotnej. Wypadła ona pod każdym względem dodatnio, gdyż jak sam teren łowiecki, tak i ci wszyscy, od których to zależało, dali z siebie, co mogli.

Do wydzierżawionych dopiero przed kilkoma miesiącami lasów, Koło nasze zajrzało tym razem dopiero powtórnie i z prawdziwą przyjemnością można już dziś stwierdzić ten prosty i miły stosunek Nadleśnictwa do Koła naszego, tak niedomagający nieraz w innych lasach państwowych. Ogólny poklask przypadł tu zasłużenie p. nadleśniczemu Natorskiemu, który, jako dobry gospodarz kniei i dobry myśliwy, wyczuł w łonie Koła naszego bratnie dusze i podał nam szczerze dłoń ku wspólnej pracy nad rozwojem gospodarki łowieckiej.

Zasadniczą treścią szlachetnych łowów (poza ilością ubitej zwierzyny) jest sama ich forma, a choć byli między nami i tacy, co to nie z jednego już pieca chleb jadali, wszyscy jednak z dużem zadowoleniem stykali się z tą zaiste piękną stroną odbytych łowów. Tu każdy z nas żył tylko swawolną radością, pieścił wzrok głębią mateczników, przeżywał chwile silnych wrażeń, a resztę wygodnie złożył na barki łowczego, któremu Koło z całem zaufaniem powierzyło pieczę nad tym terenem. Toteż każdy miał nocleg, wygody i wikt zapewniony. A w lesie: żarnowiec, paśniki, lizawki dla płowych; ziemniaki, żołędzie, padlina dla dzików. Dla braci myśliwych numerki stanowisk na drzewach; miot jeden po drugim tak rozplanowane, by czasu nie tracić; strażnicy łowieccy, gajowi, naganka tak wszystko zna mores i wolę łowczego, że aż miło patrzeć; sam łowczy postawny i miły, prawdziwy myśliwy i dobry gospodarz tych borów, a zna je oddawna, jak swoje. Udał nam się nasz łowczy p. Kazimierz Stalewski.



Z polowań w Parczewie. Do art. „Z kniei". Fot. B. Bartkiewicz.

Forma łowów piękna, wynik też niezgorszy (trzy dziki, dwa lisy), więc z zadowolenia serce prezesowskie rośnie z rozczulenia, gdyż zasługą Jego zdobycie tej kniei. Prócz kniei Parczewskiej, część puszczy Rudnickiej wilkami i głuszcami tereny nam krasi. To lasy; a wiosną i latem coś pięć mil Jasiołdy bawi brać myśliwską. Są również i kury, a nie brak i kotów — Bolimów, Dziewule, a i Stanisławów, spraszają gościnnie członków naszych na łów. Wszędzie ład, porządek, wszędzie prezes wnika, o wszystkiem pamięta: tu strażnik łowiecki, tam sąd z kłusownikiem, zdobywanie złotych na czynsze dzierżawne, rozrost Koła, multum pisaniny, praca ideowa — wszystko dla łowiectwa.

W zakończeniu nadmienię, że jeden z trzech dzików padł od celnego strzału p. red. mec. Walentego Garczyńskiego, którego Koło nasze na polowaniu tem gościło.

STEFAN FIJAŁKOWSKI



NA LISA.

Nadszedł luty a wraz z tym miesiącem martwy okres dla myśliwych. Natura jednak ciągnie wilka do lasu. Nie chcę bynajmniej twierdzić, że jestem podobny do wilka, ale jedną mamy wspólną cechę: coś nas ciągnie do lasu.

To też, gdy nastąpił luty, po minionej serji świetnych polowań na dziki w Małopolsce wschodniej, po kociołkach zajęczych Podlasia i Lubelszczyzny, nadszedł dla mnie okres, którego poprostu nie znoszę, gdyż siedząc na wsi, staram się zawsze znaleźć jakieś polowanie.

Miałem dwa psy: Cygana i Pikusia, które na jesień wykazały zdolność do pracy w jamach. Polowałem wtedy na borsuki.

Sądzę więc, że skoro potrafiły wykurzyć jaźwca, potrafią i lisa z jamy wypędzić.

Okres godowy u lisów już się zaczął, czego dowodem były ślady tychże w lesie, gdzie tylko jedna nora się znajdowała.

Pewnego dnia, kiedy śnieg pruszył, wziąwszy oba psy na sanki, wybrałem się na lisy do lasu „Wisielec", należącego do majątku Hruszniew.

Puściłem psy do nory.

Mija 10, 15, 20 minut, nic nie wychodzi, ani lis, ani psy. Słyszę tylko głuche szczekanie pod ziemią.

Zniecierpliwiony i zdziwiony długotrwałą walką w jamie, sądzę, iż psy atakują borsuka.

Wtem jak z procy wyskoczył lis w momencie, kiedy byłem najmniej do strzału przygotowany.

Z przyrzutu, strzeliłem prawie nie mierząc, widzę, że lis dostał, ale ucieka zdrowo. Strzeliłem raz jeszcze niestety pudłuję. Jestem bez nabojów, gdy drugi lis wypada z jamy. Nie miałem nawet czasu nabić strzelby, gdy znikł mi z oczu w gęstym zagajniku.

Postanawiam jednak pójść śladem pierwszego, myśląc, że może gdzie upadł, widziałem bowiem dobrze, że dostał. Na śladzie widniało trochę farby.

Zawołałem psy. Trzymając je przy nodze, szedłem już dłuższy czas, zapadając się nieraz wyżej kolan w zaspy śnieżne. Raptem Cygan skoczył i głośno ujadając pobiegł za czemś, czego w krzakach dostrzec nie mogłem. Poszedłem za nim i wkrótce zauważyłem, że pies poszedł po śladzie lisa. W ten sposób doszedłem do granicy lasu i musiałem niestety skapitulować z dalszej wędrówki, gdyż lis wpadł w las rządowy. Niebawem wrócił pies.

Dowiedziałem się w parę dni potem, że lisa tego znalazł gajowy lasów państwowych, na kilkaset kroków od granicy.

Znów minęło kilka dni.

Pewnego dnia dostaję telefoniczne zawiadomienie, iż nazajutrz odbędzie się polowanie na lisy z naganką w lesie Kisielew. Urządza je nadleśny lasów hruszniewskich, przemiły kompan na polowaniach, p. Nowacki.

Oczywiście nie trzeba mi było dwa razy powtarzać.

Niestety, na drugi dzień padał śnieg i wiatr dął porządny.

Niewielką też miałem nadzieję spotkania lisa, ale pomimo tego wybrałem się na polowanie.

Zebrało się nas myśliwych pięciu, naganki 12.

Ruszamy na stanowiska: Ja mam piąty numer.

Pierwszy miot głuchy, parę zajęcy przykicało mi koło nóg, wysoko przeleciał cietrzew, niestety nie na strzał.

Drugi miot urozmaicony był licznemi strzałami do cietrzewi, ale bez rezultatu.

Zakładamy trzeci. Składa się on z małego zagajnika świerkowego i bagienek, porosłych wysoką trawą i trzciną.

Przechodzi kilka zajęcy, na jakie 30 kroków w susach przebiega linję kierdel sarn. Już widać naganke, coraz liczniej pokazują się zające.

Wtem strzał na prawo, oglądam się i widzę lisa, ucieka w moim kierunku, musi przejść jednak jeszcze koło jednego myśliwego, a mianowicie p. N.

Pan N. strzela raz, pudło, drugi, lis się załamał w biegu i skręca w gęsty zagajnik sosnowy za linją.

Mam niezmiernie trudny strzał, gdyż na linji strzelić nie mogę, za mną zagajnik. Wybieram więc miejsce między myśliwym i zagajnikiem, i strzelam. Lis po strzale zrulował.

Ponieważ naganka jest prawie przy samej linji myśliwych, więc schodzę już ze stanowiska, wtem lis wstaje i zaczyna uciekać. Strzelam raz i haniebnie pudłuję. W biegu zmieniam ładunki i już chcę dać trzeci strzał, gdy lis pada.

Kiedy do niego podszedłem, już nie żył. Był to ładny, stary samiec.

Jeszcze trzy głuche mioty i wróciliśmy do leśniczówki, gdzie przy doskonałym obiedzie, obficie zakropionym (bez tego nie można się obyć) do późna to-

czyły się przemiłe opowiadania z życia łowieckiego, gęsto przetykane wesołemi dowcipami dr. Wróblewskiego, jednego z najlepszych myśliwych w powiecie konstantynowskim.

Dnia tego dał p. Nowicki dowód, do czego można dojść w lesie przez racjonalną gospodarkę łowiecką. W lesie, gdzie niedawno jeszcze padało podczas całodziennego polowania 5 zajęcy, co się nazywało dobrym rezultatem, widzieliśmy moc zajęcy i cietrzewi, a w każdym prawie miocie były sarny.

W tem miejscu pozwolę sobie podziękować kochanemu gospodarzowi za niejedną przemiłą chwilę, spędzoną w Kisielewie, skąd wyniosłem wiele wspomnień łowieckich.

MIECZYSŁAW MNISZEK-TCHORZNICKI.

JAK PODNIEŚĆ RACJONALNIE STAN ZAJĘCY I BAŻANTÓW W ŁOWISKU.

Śledząc historję łowiectwa, spostrzegamy, że myślistwo dawnych czasów stało pod znakiem ilościowego rekordu. Nie potrzebujemy uciekać się do łowiectwa zagranicznego, by stwierdzić wyżej wymienioną manję rekordów, wszak i nasi możni temu hołdowali; w roku 1752 np. ubito za króla Augusta III na jednem polowaniu w puszczy Białowieskiej aż 42 żubry, w tem 11 kapitalnych byków; sama królowa położyła trupem 20 napędzonych sztuk.



Dziki M. hr. ord. Zamoyskiego i St. hr. Zamoyskiego. Trzebień.

Niedawno temu, i dziś nawet jeszcze często spotkać się można tu i ówdzie z chęcią popisywania się gospodarzy łowisk ilościowo-rekordowym wynikiem polowań, którzy pragną dać gościom swoim obraz niezmordowanej swej pracy hodowlanej.

Przypominają mi się opublikowane już po upadku cesarstwa niemieckiego pamiętniki b. wielkiego łowczego nadwornego Wilhelma II, które obfitują w opisy polowań dworskich, na których strzelano do pędzonych do ogrodzenia jeleni czy danieli, wzgl. do prawie oswojonych lisów, wychowanych przez straż leśną, a wpuszczanych do miotu tuż przed rozpoczęciem polowania. Rzecz oczywista, że wówczas padały wprost rekordowe ilości zwierzyny; ale czy strzelanie, a raczej rzeź taka, może zasługiwać na miano prawidłowego polowania?

Sam kiedyś byłem na podobnem polowaniu na bażanty. Teren wyśmienity, bażantów moc, lufy mimo wymiany fuzyj — gorące, to też rezultat polowania był nadzwyczajny. Podczas „souper" sypały się toasty i pochwały na cześć gospodarza, i świetnych wyników jego pracy hodowlanej.

A żaden z gości nie wiedział, że po skończonem polowaniu, wróciwszy do poprzednio zajmowanego stanowiska, po zapomniane krzesełko składane, napotykałem na gajowych, którzy z zagajników wynosili puste klatki, z jakich tuż przed rozpoczęciem pędzenia powypuszczali bażanty. — „Tableau".

Jakkolwiek wysadzanie zwierzyny dla zaspokojenia pasji strzelania jedynie i zabijania nie zasługuje w niczem na miano polowania, tak godnem pochwały i naśladowania jest wpuszczanie zwierzyny do łowiska, celem zaprowadzenia jej na nowo tam, gdzie była już poprzednio, i gdzie wyniszczona została przeważnie podczas wojny, czy też przez inne niesprzyjające jej rozwojowi czynniki.

Zachodzi teraz pytanie, czy postępujemy dobrze i celowo, starając się podnieść zwierzostan przez wpuszczanie do łowiska zwierzyny, zupełnie obcej, a często nawet zarażonej chorobami.

Wątpliwem np. jest, czy osiągniemy w łowisku, w którem niema bażantów, dodatni wynik, wpuszczając doń kilka bażantów.

Bażant jest bowiem ptakiem towarzyskim, zawsze zachodzi zatem obawa, że osobniki zupełnie obce, wpuszczone do nowego łowiska, w którem nie napotkają na towarzyszy, wyemigrują, w poszukiwaniu tych ostatnich, do innego łowiska.

Najpewniejszym, choć najdłużej trwającym sposobem rozpowszechnienia bażantów w rewirze, byłoby stworzenie w większych łowiskach (własnych) ośrodków, z których bażanty, po rozmnożeniu się, mogłyby stopniowo porozchodzić się na sąsiednie tereny.

Rzecz oczywista, że dla przeprowadzenia powyższego potrzebny jest dłuższy okres czasu, czego dzierżawcy polowań w większej ilości wypadków nie mogą się doczekać; dlatego też nie można dziwić się

i brać im tego za złe, że starają się o wprowadzenie bażantów w sposób — jak mi się zdaje — szybszy.

Czy jednak z wynikiem dodatnim?

Inaczej już przedstawia się sprawa wysadzania zajęcy do łowiska, celem powiększenia ich stanu; ale i w tym wypadku, i to szczególnie w łowiskach o mniejszym obszarze, zajść mogą wypadki, że importowane za drogie pieniądze zające wyemigrują w sąsiedztwo.

Z tych też powodów dobrze jest porozumieć się, przed wpuszczeniem zajęcy do rewiru, z sąsiadami. Idealnem wprost byłoby, gdyby kilku właścicieli obwodów łowieckich utworzyło czasową spółkę i wybrało z pośród własnych terenów łowisko, położone najbardziej w środku, do którego wpuszczanoby zające.

Odstrzał zajęcy należałoby oczywiście w pierwszym roku po wysadzeniu ograniczyć do minimum, by dopuścić do rozmnożenia się importów.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że wysadzanie bażantów uskuteczniać należy wieczorem, po zachodzie słońca, w pobliżu drągowin, najlepiej świerkowych. Zające natomiast wysadza się nad ranem, po wschodzie słońca, w pobliżu zagajników.

Bażant, po wypuszczeniu go o wyżej wymienionej porze na wolność, natychmiast wzlatuje na drzewa, zając zaś zaszywa się w gąszczach dla wypoczynku.

Importowanie zajęcy ma niestety również ujemną stronę; istnieje bowiem wielkie niebezpieczeństwo zarażenia łowiska chorobami. Często zachodzą wypadki, że całe łowiska, a nawet całe połacie kraju, bywają zarażone przez importowaną, chorą, zwierzynę.

Czy jedynie tylko przez wpuszczanie zajęcy możemy podnieść ilość ich w łowisku? Mojem zdaniem bardziej celowem jest ochraniać i nie strzelać zajęcy przez dwa, a conajmniej jeden rok; a skoro nam sprzyjać będzie pogoda, a my sami dołożymy starań, by drapieżniki się zbytnio nie rozmnożyły w łowisku, wówczas napewno stan zajęcy się znacznie poprawi. W wypadku jednak niesprzyjających warunków atmosferycznych, oraz zbytniego rozmnożenia się drapieżników, wysadzanie większej nawet ilości zajęcy nie przyczyni się do podniesienia ich stanu w łowisku.

Trudność w przeprowadzeniu tego tak prostego a jednak skutecznego i taniego sposobu, mianowicie: zupełnej ochrony zwierzostanu, polega w głównej mierze na złych chęciach samych dzierżawców obwodów łowieckich.

Bo który z dzierżawców pomyśli o ochronie zajęcy przez 1 — 2 lata, kiedy cały termin dzierżawy obwodu łowieckiego wynosi zazwyczaj tylko 6 lat, a w dodatku sąsiad nie solidaryzuje się z dobrowolnie wprowadzoną ochroną na terenie, graniczącym z jego łowiskiem i strzela wszystko, co mu wpadnie pod fuzję.

Powyższe nielojalne postępowanie sąsiadów, oraz zbyt krótko trwające dzierżawy polowań są dla podniesienia zwierzostanu czynnikami bardzo zgubnemi. Dlatego też warto, by pomyślano przy nowelizacji ustawy łowieckiej m. i.:

1) o wprowadzeniu do niej paragrafu *), określającego utworzenie i kompetencje okręgów ochronnych (znanych np. w Niemczech p. n.: „Hegeringe") oraz

2) o zmianie § 18 ustawy w ten sposób, by najkrótszy okres dzierżawy polowania nie trwał 6 lat jak dotychczas, lecz 12, a conajmniej 9 lat.

Inż. LEON OSSOWSKI.

*) Tej sprawie projekt poświęca cały rozdział. — *Przyp. red.*



MOJE GOŁĘBIARZE.

Przedtem o nich tylko czytałem i słyszałem. Ale kiedy „księga myśliwska" z łaski swej otwierała mi swoje strony dalej i dalej, nauczyłem się „widzieć" i to życie zbójeckie. Od czasu do czasu taki „rycerz" sunął nisko nad ziemią, ciągnąc za sobą niezdarnie długi ogon. Czasami gromada pierza wskazywała jego biesiadę, lecz jeszcze nie spotkałem go „oko w oko". Aż pewnego razu... wracałem po polowaniu do domu. Było dobrze już o zmroku. Szedłem samotnie zamyślony, niosąc swoim zwyczajem strzelbę naładowaną na szyi. Pies odbiegł w prawo i spędził stadko kur, które przecięło tuż koło mnie drogę. Za niemi pociągnął i pies. Raptem z lewej strony coś dużego zamajaczyło w powietrzu i o kilka zaledwie metrów nademną posunęło w prawą stronę. Zrywam strzelbę, odciągam tylko jeden kurek i strzał z przyrzutu do prawie już niewidzialnego celu. Ciężkie uderzenie o zamarzłą ziemię pchnęło mnie biegiem. To leżał „on", mój pierwszy. Był martwy, przeszyty wzdłuż jedyną „jedynką". Sądząc z upierzenia zginął w pierwszym roku swego żywota. Poszedłem dalej zamyślony o tem, co skierowało psa w prawo,

co zdecydowało o losie kur na pagórek, powodujące z kolei przejścia psa w lewo i spłoszenie gołębiarza poto, aby droga jego zbiegła się z moją.

Od kilku lat każdej jesieni mały bratanek, Rysio skarżył się mi, że zabiera mu gołębie „ten z długim ogonem". Zawsze w wolnych od zajęć chwilach chodziłem z miasta do lasku, do sadu na czaty, lecz zawsze napróżno. Raz ubiłem krogulca po niefortunnym jego ataku na wróble, lecz „tego z długim ogonem" nie i nie. Chociaż leciał zawsze, ale jakby mnie czuł i zawsze daleko. Jednego razu siedzę w domu. Wpada bratanek i krzyczy: „siedzi na gruszy koło kuchni". Idę sprawdzić, nie wierząc w takie zuchwalstwo. Tak, siedzi o jakich parę metrów od okna. Usiadł po bezowocnym ataku na gołębie. Na podwórku rwetes dzieci. Nim wziąłem strzelbę i ładunki odleciał spłoszony hałasem. Zatrzymałem się koło ganku i kazałem natychmiast spłoszyć gołębie. A kiedy te zakołowały niziutko między budynkami, wpadł między nie wiadomo skąd, jak widmo, lecz tak wykręcił między ludzi o konie, że nie mogłem strzelić z obawy pokaleczenia kogoś. Nic nie wziął. I znowu upłynęło parę lat.

Ubiegłej jesieni bratanek alarmuje, że jest stale. Poszedłem w grudniu sprawdzić rewir i znalazłem w trzech odległych od siebie o ½ — 1 kilom. gaikach trzy cmentarzyska. Pierza było na dobrą poduszkę. Widziałem resztki kilku kuropatw i kilkudziesięciu wron, kawek i gawronów. Zdecydowałem z tem już skończyć i poszedłem szukać. W jednym z okolicznych gaików o paręset metrów ode mnie wyleciał prosto na mnie z ciężarem. Zawrócił za pagórek, ja za nim. Strzeliłem dwa razy, ale było daleko. Odleciał za dalsze pagórki. Podążam do ostatniego lasku, nie mam już nadziei i strzelba wisi na ramieniu. Kiedy wstąpiłem tylko w krzaki nieco dalej, trochę za pagórkiem wzbił się odrazu w korony drzew. Łapię strzelbę, dwukrotnie walę w gałęzie i coś pada, lecz były to skrzydła i szkielet gawrona, a „on" poleciał nad drzewami.

Na drugi dzień posyłam bratanka z naganką, a sam staję w drugim końcu gaiku. Za chwilę słyszę łamanie gałęzi i widzę lecącego wprost na mnie. W odległości jakich 20 kroków probuje usiąść. Widzę wyraźnie, że stary, bo spód prawie biały. Wtem spostrzega mnie, znowu łamie gałęzie i leci w bok. Wichura ze śniegiem zaprósza mi oczy, lecz strzelam dwa razy i pudłuję na czysto. Myślałem, że zaraz dostanę ataku sercowego. Strzelam przecież bekasy, a do „takiej sztuki" nie trafiłem.

Wracam do domu prawie o zmroku, lecz na życzenie bratanka staję pod jednym gaikiem, aby doczekać się swego naganiacza z drugiego lasku dokąd poszedł na wszelki wypadek. Wtem nad głową moją z tyłu spływa „on" omal do ziemi. Strzelam prawie po ciemku z przyrzutu. Błysk ognia, a potem gołębiarz krzycząc ucieka ode mnie w podskokach po śniegu. Głos rozpaczliwy, ćwierkotanie z gwizdami. Odczuwam największą emocję i zarazem uczucie wielkiej przykrości, bo ma złamany lot i trzeba dobijać. Robię kilka kroków naprzód i widzę, jak z lewej strony jak strzała leci drugi i siada tuż koło rannego, odzywając się nieco odmiennym głosem. Składam się z lewej, huk. Ranny zastyga w bezruchu, a mierzony odskakuje o krok i prawie leży. Tak byłem oszołomiony, że zapomniałem nabić strzelbę. Triumfuję, że po tylu niepowodzeniach odrazu dwa i tak niezwykle, lecz zawcześnie, bo drugi podrywa się i wraca koło mnie do lasku. Lot ociężały, ogląda się i czepia się o 30 kroków na sosenkę wysokości paru metrów. Prędzej ładuję strzelbę, lecz skrzepłe od zimna ręce, a może poprostu ze zdenerwowania działają niesprawnie. Zrozumiał „on" sytuację, jeszcze raz poderwał się i zataczając półkole, aby obejrzeć się za towarzyszem, zniknął w lasku. Jasnem mi się stało, że to matka, która na rozpaczliwe wołanie dziecka przybyła z pomocą, chociaż wiedziała, że człowiek może zabić i nie zawsze oszczędzi nawet uczucia matki. Odchodziłem z jednym zbójem, ale z wielką ulgą, że los oszczędził mi zabójstwa drugiego w chwili przejawiania naj-



Wieniec karpackiego 18-staka wagi 9,4 kg.

Fot. A. Kaplinski.

wznioślejszej cechy macierzyństwa — poświęcenia życia dla dziecka.

Następnego dnia rano przeszukuję lasek. Nigdzie niema, więc uleciała cało. Na wieczór tegoż dnia przeszła naganka w tymże gaiku bez rezultatu, lecz zauważyłem coś w krzakach przemijającego przy ziemi. Idę sprawdzić i niespodziewanie trochę dalej podrywa się „on" i pociągnął pod gałęziami młodych sosenek o jakich pół metra od ziemi dalej w gęstwinę. Wlókł coś w szponach. Staję natychmiast na stanowisku i posyłam naganiacza. Za chwilę wyleciał z lasku na kraj, skręcił i leci niziutko, pracując miarowo skrzydłami, bo trzymał prawie całego gawrona.

Odurzony krwią nie zauważył mnie i to go zgubiło. Po strzale puścił ofiarę i ta wpadła na krzak jałowcu i zawisła, a sam legł przed tym krzakiem, skłoniwszy głowę przed swoją ofiarą. Podszedłem, był nieprzytomny. Była to duża stara samica, prawie biała pod spodem. Prawdopodobnie do niej trzykrotnie spudłowałem, bo ani w tydzień potem, ani później więcej gołębiarzy nie widziałem i pierza dużych ptaków nie znajdowałem. Obecnie pracuje para krogulców, na które, jak dotychczas, poluję bezskutecznie.

DOMINIK PIETRASZ.



Z LITERATURY ŁOWIECKIEJ.

NAJADA SZCZYRBSKIEGO JEZIORA.

(Opowiadanie myśliwego z cyklu „Pani polująca").

Pod powyższym tytułem wyszła w Poznaniu zajmująca powieść nestora myśliwskich pisarzy wielkopolskich, Władysława Janta-Połczyńskiego. Nazwisko to dobrze i szeroko znane w Polsce i za oceanem. Autor wielce zasłużony tak na niwie literatury łowieckiej, jak około pracy organizacyjnej na polu ideowego łowiectwa. Władysław Janta-Połczyński został ostatnio nagrodzony przez Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich najwyższem odznaczeniem łowieckiem „Złom", a amerykańskie towarzystwo New-York Zoological Society zaprosiło go na swego korespondenta. Czcigodny autor, mimo 78 lat życia, nie ustaje w dalszej pracy dla dobra łowiectwa. Wytrawnem piórem zasila rozmaite pisma, przygotowywa nowe wydawnictwa, troszczy się skutecznie o rozmnożę bobrów i zachowanie żubrów w Polsce.

Po szeregu prac jego, jak: „Estetyka łowiectwa", „Św. Eustachy", „Która z dwóch", „Ramoty myśliwskie", „Polująca pani" i „Karczma pod wilkiem", wychodzi o równie wielkich walorach najnowsza powieść o wycieczce myśliwskiej na czeską stronę Tatr, p. t. „Najada Szczyrbskiego Jeziora". W powieści tej zamknął sędziwy autor cel swego życia: propagandę etyki łowieckiej i umiłowanie przyrody, której skarbów Opatrzność Boża nie poskąpiła ojczyźnie naszej. Na całość powieści składają się następujące rozdziały:

Co się zdarzyło w Meranie?
W drodze ku nieznanym roskoszom.
Najada ukazuje się na powierzchni.
Niezwykły hrabia i osobliwy kamerdyner.
Myśliwy staje się pożądaną zwierzyną.
Pierwszego tokowiska niezwykła przygoda.
Mistyczny kłusownik.
August Pendel ostrzega.
W świątyni Djany i Wenery.
Ostatnia gra na karpackiem tokowisku.

Swoista to powieść i pociągająca nietylko myśliwych, lecz najszersze warstwy czytających. Chcąc utrzymać w modnej dzisiaj formie zaciekawienie czytelnika, wplótł autor do fabuły, od pierwszej stronicy, przedewszystkiem erotykę, a następnie kilka efektownych scen myśliwskich, jak: walka psów z niedźwiedziem oraz podkradanie się do głuszców.

Mistrzowską ręką kreślone są obrazy. Oto dwóch myśliwych podąża nocą jodłowym borem na tokowisko. „...nie wszystkie stworzenia oddawały się spoczynkowi. W dali odezwał się kilkakrotnie ponury głos puhacza, po chwili zakwiliła sówka żałośnie. Przestraszony światłem (lampki elektrycznej) i krokami naszemi, zerwał się w chojarach ptak jakiś, przebudzony ze snu, skrzydłami załopotał trwożliwie, próbował znaleźć miejsce na spokojnej gałęzi i załamawszy się pod wątłą łodygą, bijąc skrzydłami, szukał gdzieś dalszego ukrycia".

Oto inny barwny opis „wiosennej premjery śpiewaka puszczy": „Chwilę ciszy i niespokojnego wyczekiwania przerwał odbijający się w uszach ton lekki, jakby śpiewak, próbujący głosu, uderzył naprzód w klawiaturę fortepianu i próbował go z cicha razy kilka, potem rozpoczął śpiew, modelując go w andante, następnie stopniując przeszedł w amoroso, a wielkiem fortissime wykonał finale".

W powieści tej zamknął autor cały zasób przekonań i zasad o dwóch najszlachetniejszych pasjach życia ludzkiego, jakiemi są: miłość i myślistwo. Poszedł za Weyssenhoffem, dając w powieści więcej „panny" niż „sobola": i dlatego „Najada" każdego zainteresuje.

Korzysta autor pochopnie i umiejętnie z każdej sposobności, aby towarzyszącą mu „polującą panią nauczyć etyki myśliwskiej. Nie pozwala hrabinie Elzie strzelić do niedźwiedzicy, przy której roskosznie igrają dwa piastuny, podbija jej strzelbę, gdy się złożyła do strzału, bo „to zasady myśliwskie i przyrodnicze zarazem, nie odbijać matki nawet od drapieżnika".

Przez 195 stronic powieści snuje się myśl szlachetności w myślistwie i miłości, a oddźwięk tego znajdujemy w słowach hrabiny Elzy, wypowiedzianych na pożegnanie do „polskiego barona", gdy z Erdaszlaku wyjeżdżał autem w drogę powrotną, w Poznańskie:

„Wiele też dzięki tobie przeobraziło się we mnie; byłeś dla mnie nietylko nauczycielem prawideł łowieckich, ale i mentorem prawideł życiowych. Niejedno zrozumiałam, co dawniej było mi obce; dzięki ci więc za to, coś mi dał".

Rozsiany nadto niewymuszony i szczery humor barwi tę powieść, nastrojoną na nutę od serca, od pierwszej do ostatniej jej stronicy.

„Najada" wyszła, jako dodatek powieściowy do „Dziennika Poznańskiego". Jedyny to wypadek w prasie perjodycznej, godny naśladowania. Sądzę, że wieloraką byłaby korzyść, gdyby dzienniki stołeczne i prowincjonalne, zamiast banalnych i płytkich pod względem treści tłumaczeń sensacyjnych powieści obcych, zechciały wejść w kontakt z pisarzami łowieckimi i ich prace zamieszczać w dodatkach powieściowych. Przedewszystkiem pamięć o swoich i o własnym towarze. Przecież to nakaz dzisiejszej chwili. Oby wyłom, który uczyniła „Najada" Połczyńskiego, był zapoczątkowaniem szczęśliwszej ery dla ojczystej literatury łowieckiej.

Vivat sequens.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI.

SZCZĄTKI KOPALNE ŻUBRA (BISON BONASUS L.) NA ZIEMIACH POLSKI.

Liczne stada wspaniałych żubrów — pasły się kiedyś na rozległych ziemiach Polski. Niestety zwierzę to — dzisiaj prawie już wymarło, wytępione przez człowieka.

To też prace naukowe, zajmujące się biologją, czy to już wymarłego żubra, czy też jeszcze po dziś dzień żyjącego — powinny zainteresować ogół społeczeństwa, a przedewszystkiem tych, których obowiązkiem jest dbać o bogactwo zwierzostanu kraju, — myśliwych.

Z końcem r. 1931 ukazała się praca p. prof. dr. Lubicz-Niezabitowskiego, wydana w Rocznikach Nauk Leśniczych i Rolniczych, tom XXVI p. tyt.: „Szczątki kopalne żubra (Bison bonasus L.) na ziemiach Polski".

Autor na podstawie kopalnych szczątków żubra od końca pleistocenu (dyluwjum) wykreśla nietylko granicę rozprzestrzenienia się jego na terenach Polski — ale zarazem podaje i kraje, z jakich pochodzi. Przybył do Europy z południowego wschodu — był na Kaukazie, w górach Libanonu i u północnego podnóża Karpat — znaleziono tam bowiem jego szczątki. Stąd rozchodził się w najrozmaitszych kierunkach — unikając jednak okolic, w których żył tur. Podczas gdy ostatni trzymał się miejsc mokrych i równych — pierwszy przebywał głównie w okolicach suchych, pagórkowatych. Jak podają zapiski, żubr był kiedyś w Polsce nietylko w puszczy Białowieskiej, ale i na Wołyniu koło Lubomla i Ratna, nad Prypecią, w okolicach Przyszowa, pomiędzy Wisłą a Sanem, w lasach Kozienickich i Jedlińskich, w Puszczy Niepołomickiej, pod Krakowem i w Puszczy Kampinowskiej, a wreszcie i na Pomorzu i w Prusach zachodnich.

Gatunek żubra, opisany przez autora, różnił się od żubra dzisiejszego znaczną wielkością — a przedewszystkiem grubością rogów. Ponieważ czaszki, opisane przez autora, pochodzą z warstw starszych, jak okazy opisane z zachodu — żubr żył w Polsce wcześniej, niż w krajach ościennych. Materjał zebrany do tej pracy był znaczny, gdy zważymy, że dotychczas znanych było ogółem 10 czaszek — do których dochodzi teraz materjał, opracowany przez autora, w ilości 8. Ciekawe znalezisko z Grabowa, opisane w pracy tej przez autora — czaszki razem z siekierą — referowałem już w jednym z poprzednich zeszytów.

Szczegółowe i wyraźne fotografje umieszczone na 7 tablicach — zaznajamiają każdego z budową anatomiczną czaszek wykopanych, a i dzisiaj żyjącego żubra białowieskiego.

Dr. WIESŁAW RAKOWSKI.



Z MAŁOKALIBROWEGO SPORTU STRZELECKIEGO

WŁOCHY.

(Nowe prawo z 15 czerwca 1931 r.).

„Tutaj należy się wpisać, żeby bronić ojczyzny głosi wielka świetlna reklama na „Rondo della Cagnola" w Medjolanie. Taką płomienną reklamą chce zwrócić na siebie uwagę przechodnia medjolański oddział tarczowego sportu małokalibrowego, („Tiro a Segno Nationale"), którego zadaniem i obowiązkiem jest obrona ojczyzny. To zdanie nie jest pustym frazesem, gdyż, ci którzy należą do „Tiro a Segno Nationale", chociaż nie noszą specjalnego munduru, tworzą jednak prawdziwą narodową milicję, która może i musi w danym razie iść na nieprzyjaciela.

Chociaż niejeden jest zdania, że w nowoczesnej wojnie broń ręczna decydującej roli nie gra, to jednak dalecy jesteśmy od twierdzenia, że czasy ręcznej broni przeżyły się. „Tiro a Segno" chce nietylko przyuczyć obywatela do obchodzenia się z bronią (model 91), ale chce być i moralnem przedszkolem, obywatelskiem pogotowiem w razie wojny.

Że wprawne oko wielką gra rolę w strzelaniu, że często nieznaczna ilość rozbitych strzelców cały bataljon może zatrzymać, któż temu zaprzeczy; wszędzie widzimy ćwiczącą się w strzelaniu młodzież, z której przecież powstają najlepsi strzelcy; przykładem Szwajcarja.

Nowe prawo pozwoli odżyć sławnemu kiedyś sportowi tarczowego strzelnictwa małokalibrowego we Włoszech; strzelcy ci, połączeni w sekcje, stoją pod komendą oficerów milicji. — Młodzież niżej lat 16-u może należeć, zdaje jednak egzamin po skończeniu lat 16-u, później może się zapisywać do sportowego oddziału międzynarodowego gier olimpijskich i t. d., po zdaniu odpowiednich egzaminów.

Tutaj muszę dodać, że członkowie „Tiro a Segno" podlegają skróceniu terminu służby wojskowej lub nawet zwolnieniu od tejże.

Nie dziwi nas przeto, że w Medjolanie liczy w tej chwili „Tiro a Segno" 25.000 członków.

SZWAJCARJA.

Szwajcarja jest pierwszym w Europie krajem, który w 1824 r. założył sport strzelecki; a stało się to w Sempach (Kanton Aarau), gdzie w miejscu ostatniej wielkiej bitwy zwycięskiej z Austrjakami założono uroczyście pierwszy stand tarczowy. Za tym przykładem poszły: Bern, Zurich, St. Gallen, Bellinzona i t. d. wszystkie te miasta wielkiemi kosztami urządziły strzelnice. Stand w Aarau ma 60 automatycznych stalowych tarcz. Urządzenie to pochłonęło ogromne sumy, i jest prawdziwem arcydziełem sztuki inżynierskiej.

Tutaj w 1924 r., w stuletnią rocznicę założenia, zjechało się 10.000 strzelców, a wśród nich ekipy sławnych, niezwyciężonych, międzynarodowych strzelców kulowych, godnych następców Wilhelma Tella.

Zawsze był sport strzelecki w Szwajcarji uważany za najszlachetniejszy sport narodowy. Zamiłowanie do niego jest obowiązkiem i dumą każdego z mieszkańców, a uprawianie go jest elementarnym obowiązkiem, któremu z zapałem się oddają.

I tak jest w kraju, którego nikt nie może i nie potrzebuje zaczepiać!

W. S.



Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

Ś. P. ADAM DE LAMBERT EBENBERGER.

W dniu 15 lutego r. b. zmarł we Lwowie ś. p. inż. Adam de Lambert Ebenberger, długoletni członek Wydziału Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, członek Państwowej Rady Eletrycznej. Ś. p. Zmarły znany był w polskich kołach łowieckich, jako zamiłowany myśliwy - hodowca, stojący zawsze na straży etyki i zasad prawidłowej gospodarki.

Od wielu lat ś. p. Adam Ebenberger z ramienia Wydziału Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego kierował organizacją popisowego strzelania w czasie dorocznych zjazdów. W roku ubiegłym On to był komisarzem strzelnic myśliwskich na Narodowych i Międzynarodowych Zawodach strzeleckich, myśliwskich i łucznych we Lwowie.

Prócz działalności jego na polu łowiectwa i strzelnictwa myśliwskiego, wspomnieć tu trzeba o wybitnej Jego pracy patrjotycznej w czasach zaborczych i czynnym udziale w obronie Lwowa, a potem działalności w organizacjach społecznych, jak „Sokół" i „Ognisko".

Wszędzie zdobył sobie ś. p. Adam Ebenberger uznanie i szczerą sympatję.

Cieniom ś. p. Zmarłego oddajemy na tem miejscu głęboką cześć, Rodzinie zaś i Wydziałowi M. T. Ł. składamy wyrazy szczerego współczucia.

Ś. P. GEN. JÓZEF STILLER.

Dowiadujemy się z Krakowa o śmierci ś. p. gen. Józefa Stillera, wiceprezesa Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie, prezesa Oddziału Krakowskiego tegoż Towarzystwa, delegata powiatowego Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich i Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego na powiat i miasto Kraków.

Ś. p. gen. Józef Stiller należał do rzędu najwybitniejszych myśliwych. Niezrównany organizator, pionier w krzewieniu zasad etyki myśliwskiej i prawidłowego myślistwa, zamiłowany w pracy ideowej, zawsze wysoko niósł zielony sztandar św. Huberta.

Wieść o Jego zgonie wzbudziła żal powszechny, w którym łączymy się z Rodziną ś. p. Zmarłego, Wydziałem M. T. Ł. i Wydziałem Oddziału Krakowskiego M. T. Ł.

NOWY WRÓG ZAJĄCA.

Klinika chorób wewnętrznych akademji weterynaryjnej w Brnie morawskiem ogłosiła w Nr. 23 „Straży Myslivosti" następujący, ciekawy artykuł:

Codziennie odbiera nasz oddział kliniczny nowy materjał do badań. Są to przeważnie całe zające, znalezione już po śmierci, lub pojedyncze narządy, wyjęte z zajęcy ubitych. Na podstawie przeprowadzonych badań można śmiało twierdzić, że jeśli wkrótce nie nadejdą suche mrozy, oczekiwać trzeba będzie wielkich strat w stanie zajęcy.

Zwracaliśmy kiedyś uwagę na fakt, że długotrwałe deszcze powodują gromadne padanie zajęcy. Deszcze działają zgubnie w dwóch kierunkach: obniżają odporność, zwłaszcza zajęcy młodych, sierść brzuszna bowiem — raz przemrożona — nie mogąc wyschnąć, powoduje (drogą zaziębienia żołądka i płuc) różne choroby. Pozatem ciągłe deszcze stwarzają korzystne warunki rozwoju dla zarodków wielu chorób, opanowujących zwierzę tem łatwiej, im organizm jego jest więcej wyniszczony niekorzystnemi warunkami atmosferycznemi.

O ile w zeszłym roku rozsadnikiem chorób u zwierzyny była bakterja — o tyle w tym roku jest nim pasorzyt, wywołujący kokcidiozę i robaki żołądka.

Kokcidioza jest to zapalenie kiszek wskutek nadmiernego rozmnożenia się drobnoorganizmów z rodziny Protozoa, niekiedy skomplikowane schorzeniem wątroby. Choroba bywa przeważnie śmiertelna — a przyczyną dwa pasorzyty: Eimeria sticdae i Eimeria leporis.

Kokcidioza wątroby, występująca w ostrzejszej formie u królików, niż u zajęcy, powstaje pod wpływem pierwszego z tych dwóch pasorzytów. U zajęcy rzuca się przeważnie na sztuki młode, tak, że może niekiedy zniszczyć cały tegoroczny lęg.

Eimeria sticdae atakuje w pierwszym rzędzie cienkie otrzewo. Ścianka otrzewa jest szklista, silnie zaczerwienioną, powleczona czerwonobrunatną, gęstą cieczą. Prócz tego występują na otrzewie charakterystyczne ogniska, wielkości ziarnka prosa, żółtobrunatne, lub żółtobiałe, o niewyraźnem ograniczeniu. Jest to niewątpliwa Eimeria leporis.

Jeśli obok kokcidiozy otrzew występuje kokcidioza wątroby, ukazują się na wątrobie ogniska wielkości ziarnka ryżu, nieforemne, żółtobiałe, zawierające gęstą, ciągnącą się ciecz. Pod mikroskopem widać w nich wyraźnie kokcidy. Dalszą, niebezpieczną komplikacją kokcidiozy otrzew jest zapalenie otrzewnej.

Wobec tego, że kokcidioza zwłaszcza u zwierząt starszych ma charakter chroniczny — powoduje tem samem znaczne ochudzenie. Niektóre, odporniejsze zające, przetrwawszy chorobę, wydzielają z kałem formy trwałe kokcidów i tem przyczyniają się do rozszerzenia zarazy; kokcidy bowiem są niezmiernie odporne na wpływy atmosferyczne, a nawet na działanie środków dezynfekcyjnych.

Dalszą chorobą pasorzytniczą, która niszczy zwierzynę drobną w stopniu daleko wyższym, niż przypuszczamy, są robaki żołądkowe. Jak przy kokcidiozie — działają tu dwa zarodki. W żołądku żyje, specyficzny dla zająca, graphidium strigosum, w cienkiem otrzewie zaś trichostrongilus retortaeformis. Graphidium strigosum pasorzytuje na ścianie żołądka, jako nitkowaty, czerwony pasorzyt, długości kilku milimetrów.

Kilka pasorzytów u dorosłego zająca nie stanowi jeszcze choroby — dopiero silnie rozmnożone powodują zaburzenia, żyjąc bowiem krwią, wyssaną ze ścian żołądka — wywołują stan zapalny i drobne poranienia błon śluzowych.

Wiadomo, że niektóre sole miedzi zabijają pasorzyty żołądkowe i na tej podstawie probowano zadawać je zwierzynie w lizawkach. Innym środkiem, mniej skomplikowanym, jest marchew, naszpikowana maleńkiemi dawkami kalomelu (pół grama na jedną dużą marchew).

Wreszcie skutecznem, choć w praktyce niemal niewykonalnem, jest rozkładanie paszy suszonej, która stanowi nader niepodatny grunt do rozwoju i rozmnoży pasorzytów.

WŁ. KARNKOWSKI.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

Siedleckie Kółko Racjonalnego polowania liczy 21 członków i posiada tereny łowieckie w powiecie siedleckim (woj. Lubelskie), w gminach: Niwiski. Domanice, Wiśniew i Skórzec, o powierzchni 18.256 morgów.

Stan kuropatw — doskonały, zajęcy dobry, sarn słaby, kaczek średni.

Naszą strażą łowiecką są gajowi lasów państwowych.

Kłusowników ujęto dwóch, zostali oni ukarani administracyjnie.

Za najbardziej szkodliwy czynnik dla łowiectwa uważamy pobieżne traktowanie ustawy łowieckiej przez władze administracyjne, jak również dostęp miejscowych chłopów, którzy jako niezrzeszeni wybijają zwierzynę.

Kółko nasze urządziło w tym sezonie 13 polowań gremjalnych, przyczem wyniki były następujące:

Teren łowiecki	strzelb	zajęcy	kuropatw	lisów	psów, kotów	jastrzębi	wron
Zbuczyn	11	15	3	—	—	—	—
Stok i Wólka-Wiśniewska	14	6	8	—	1	—	—
Bale	17	45	24	—	—	—	—
Dąbrówka Ług	17	52	97	—	—	—	10
Brzozów	15	72	24	—	1	—	10
Stok-Wiśniewski : las	13	22	—	—	—	—	—
Zelków-Teodorów	6	18	24	—	—	—	—
Golice	18	60	66	—	—	—	—
Mościbrody-Białki	16	32	11	—	—	—	—
Sekula-Grabianów	13	29	20	—	—	—	—
Myrcha	13	40	—	2	—	2	—
Krześlin	5	8	5	—	—	—	—
Chodów	16	76	79	—	—	2	5

Ogółem ubito: 475 zajęcy, 426 kuropatw, 2 lisy, 2 psy, 4 jastrzębie i 25 wron.

— Dnia 11 stycznia r. b. odbyło się polowanie reprezentacyjne w miejskim parku leśnym „Las Wolski" pod Krakowem.

Z ogólnego obszaru leśnego około 600 morgów — opolowano mniej więcej połowę. Pogoda wspaniała, dzień słoneczny z przymrozkiem, śniegu mało. Myśliwych 23, miotów 9, naganki 60. Na rozkładzie 157 zajęcy, 2 lisy i 3 bażanty. Najlepszy rozkład mieli: p. prezydent miasta, płk. Belina-Prażmowski oraz prezes Oddziału Krakowskiego M. T. Ł., gen Stiller.

Polowanie zaszczycił swą obecnością: p. wojewoda krakowski, dr. Mikołaj Kwaśniewski, brał w niem nadto udział szereg wybitnych osobistości z pośród społeczeństwa krakowskiego.

Rezultat polowania naogół bardzo dobry, pomimo, że stan zajęcy był w roku ubiegłym nieco słabszy. Stan sarn dobry, bo około 20 sztuk. Bażantów w parku coraz więcej, ponieważ jednak zagajników polowaniem nie objęto, stąd więc małe wyniki, jakkolwiek ilość rokrocznie się zwiększa, dzięki wzorowo prowadzonej bażantarni, z której pewną ilość bażantów wypuszcza się co roku do parku.

Zwierzostan, — dzięki racjonalnej hodowli, ochronie przez zaprzysiężoną straż leśno-łowiecką, odstrzał szkodników (w roku 1931 — 128 sztuk, w tem — 3 lisy, kuny, łasice, psy, koty, jastrzębie i t. p.), a wreszcie podkarmianiu porą zimową, — stale się powiększa. Gdy w latach powojennych wyniki polowań z całego obszaru leśnego wynosiły 18 szt. zajęcy, a sarn było ogółem do 3 sztuk, — to obecnie, bez szkody dla dalszej rozmnoży, można mieć na rozkładzie 150 — 200 sztuk zajęcy; stan sarn podniósł się do 20 sztuk, bażantów zaś można naliczyć prócz bażantarni przeszło 100 sztuk.

Łowiectwo w tej miniaturowej kniei, ma jeszcze szersze widoki rozwoju, z uwagi na powiększenie terenów łowieckich własnych przez wydzierżawienie prawa polowania w okolicznych gminach wiejskich, jak niemniej przez należyte docenianie kwestji łowiectwa przez obecnego prezydenta miasta, który osobiście czuwa nad podniesieniem zwierzostanu i racjonalnie prowadzoną hodowlą w tymże rewirze. Dowodem tego jest zakupienie w roku bieżącym większej ilości zajęcy dla odświeżenia krwi oraz bażantów czystej krwi mongolskiej i chińskiej.

W ten sposób, dzięki życzliwemu poparciu prezydjum miasta, racjonalnie prowadzona gospodarka łowiecka zarządu okaże w najbliższych latach, do jakich wyników dojść można, nawet na małych terenach łowieckich, przy umiejętnie prowadzonej hodowli.

— x. —



Z polowań w Grzymiszewie.

— W maj. Grzymiszew p. L. Puławskiego odbyło się szereg polowań w sezonie myśliwskim 1931/32. 20. IX r. ub. w 3 strzelby polowano na kuropatwy: padło 282 sztuki. 23. X polowano wyłącznie na dziki; padło 10 dzików. 9 i 10. XI w 11 strzelb ubito: 8 dzików, 385 zajęcy, 576 królików, 109 bażantów, 45 kuropatw, 1 słonkę ogółem 1124 sztuki. 24.XII polowano parę godzin, wyłącznie na dziki; padło 4 dziki. 15.I polowano wyłącznie na dziki; padło 9 dzików. 15.II z podjazdu ubito 3 dziki.

Ogółem w sezonie tym padło w Grzymiszewie 34 dziki.

— L. —

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą a 5-ą pop. w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

OGŁOSZENIA DROBNE

Nasiona sadzonki drzew leśnych i roślin pastewnych dla zwierzyny oraz **żywe bażanty** i **jaja** bażancie poleca po cenach konkurencyjnych Zarząd Lasów xx Czartoryskich **Nadleśnictwo Babki** poczta **Krzesiny** Wielkopolska.

Sosnę pospolitą 16 zł. kg. sadzonki 3 zł. za 1000 oraz wszelkie **inne nasiona sadzonki narzędzia leśne i ogrodowe, żywą zwierzynę** jajka bażancie karmę dla zwierzyny zatrzaski **siatki druciane** formularze leśne dostarcza po cenach konkurencyjnych **„Darz Bór"** Poznań Wielkie Garbary 20 tel. 1820. Prosimy żądać bezpłatnych cenników i bezinteresownych porad fachowych.

Sprzedam surowego wyżła niemieckiego krótkowłosego 8 miesięcznego, zdradzającego najlepsze zalety. Postawy P. K. U Strzemiński.

Trójlufka pierwszorzędna broń firmy Meffert Suhl kal. 12/12 i 9,3×60 z lunetą Luxor $5^1/_2 \times$ z powodu braku okazji strzelania kulą do sprzedania za niską lecz stałą cenę 600 zł. Franciszek Szuffla. Kochłowice pow. Katowice. Górny Śląsk.

Wynajmę wiosenny odstrzał głuszców na toku od 2—5 szt. Warunki pod adresem Redakcji Łowca dla Amatora.

Prośba o fotografje.

Redakcja „Łowca Polskiego" prosi PP. Myśliwych, posiadających ciekawe zdjęcia myśliwskie, o nadesłanie tychże Redakcji do użytku bieżącego.

Prosimy o podawanie nazwisk osób, które dokonały zdjęć, w celu zamieszczenia ich pod fotografjami.

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warecka 15.